

Maria Wrzeszcz

Borne Sulinowo : o mieście, którego nie było

Niepodległość i Pamięć 17/1 (31), 341-354

2010

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Maria Wrzeszcz

Lublin

Borne Sulinowo. O mieście, którego nie było

Złote Lwy – Grand Prix Festiwalu Filmów Polskich w Gdyni w 2008 roku otrzymał film „Mała Moskwa” zrealizowany przez Waldemara Krzystka, twórcę głośnego przed laty „Ostatniego promu”. Pochodzący z Legnicy, nazywanej właśnie Małą Moskwą, 55-letni reżyser mieszkał blisko muru otaczającego Kwadrat (secesyjna część miasta), zajmowany od 1945 roku przez Armię Czerwoną. Widział zatem wiele na własne oczy. Historię krótkiego, tragicznego, zakazanego romansu Polaka i Rosjanki – ofiar historii – opowiedziała mu matka. Dobrze przedstawiony, wzruszający, wywołujący łyzy los bohaterów jest prostą funkcją dziejowego zła. Ten pierwszy w polskiej kinematografii film pokazujący, że Sowietci stacjonowali w Polsce (który mógł się spodobać i podobać się publiczności), skierował moje myśli w stronę innej, mniej znanej ogółowi rodaków niż Legnica – a mnie, podobnie jak reżyserowi, dość dobrze – wielkiej bazy Armii Czerwonej okupującej nasz kraj od zakończenia II wojny światowej.

O istnieniu Bornego Sulinowa wielu Polaków dowiedziało się dopiero na początku lat dziewięćdziesiątych minionego stulecia. W czerwcu 1989 roku odbyły się w Polsce przełomowe wybory parlamentarne. 8 grudnia 1991 roku oficjalnie upadł Związek Sowiecki. Do historii zatem przeszedł „blok socjalistyczny”, obejmujący kraje Europy Środkowej, potocznie zwane „demoludami”, które wskutek zdrady jałtańskiej 1945 roku znalazły się w strefie wpływów Stalina i jego następców. Wynikiem szybko następujących wydarzeń w tym regionie Europy, zwłaszcza od „jesieni ludów” 1989 roku, był „odwrót wielkiej armii” – Armii Czerwonej, stacjonującej na tym obszarze od zakończenia II wojny światowej. Nadszedł wreszcie czas opuszczania znajdujących się od prawie półwiecza sowieckich garnizonów wojskowych na terytorium suwerennej Polski w efekcie prowadzonych od października 1990 roku rozmów między stroną polską a rosyjską. 8 kwietnia 1991 roku z największego garnizonu rosyjskiego w naszym kraju w Borne Sulinowie jako pierwsza wyjechała brygada rakiet operacyjno-taktycznych. Chcący być świadkami tego bezprecedensowego wydarzenia dziennikarze mieli ogromne trudności z dotarciem do miasta, którego nazwy nie zawierał wydany przez Ministerstwo Administracji, Gospodarki Terenowej i Ochrony Środowiska w latach 1980-82 *Wykaz urzędowych nazw miejscowości w Polsce*. Nie było go też na polskich mapach. W ewidencji gruntów gminy Siłnowo obszar ten figurował jako „tereny leśne”.

Osobiście nie miałam takiego problemu. Wskutek zbiegu powojennych okoliczności urodziłam się ok. dwadzieścia km w linii prostej od Bornego Sulinowa, gdzie na mocy wojskowego rozkazu z marca 1945 roku musieli osiedlić się wracający z niemiec-

kiej niewoli moi przyszli rodzice, jak również setki rodaków, pragnących po latach straszliwej, okupacyjnej poniewierki dotrzeć do stron rodzinnych. Usłyszeli jednak – „tu będzie Polska, tu musicie zostać i ją budować”. Nikt ich nie pytał o to, czy właśnie w tym miejscu – gdzie wciąż trwały zaciekle walki o przełamanie Wału Pomorskiego – chcą zacząć nowe życie. Decyzję za nich podjęli sowieccy dowódcy. Pod groźbą utraty życia pozostali więc z nadzieją, że „kacapy” pogonią Szwabów do Berlina, a potem wrócą do siebie, do *Sajuza*. Wkrótce przekonali się, że stało się inaczej, bowiem tysiące Rosjan (potocznie nazywanych przez Polaków „Ruski”/„Ruskie”) – w niewielkiej odległości od siedzib nowych osadników – rozpoczęło okupację ogromnych terenów naszego, rzekomo suwerennego, państwa. Polacy nie mogli tego zrozumieć i nie chcieli się z tym pogodzić, lecz musieli nauczyć się z tym żyć, choć nie raz złość ich brała, zwłaszcza, gdy słuchali sloganów na temat przyjaźni i pomocy polsko-radzieckiej.

W takich okolicznościach mijało moje dzieciństwo i młodość. Od czasu do czasu padała w domu nazwa Borne Sulinowo, Grossborn, określająca jakieś niezwykle, tajemnicze, niedostępne miejsce. Przeważnie zdarzało się to w okresie wielkich manewrów wojskowych, bardzo często odbywających się na niezmiernych poligonach Układu Warszawskiego, ciągnących się tuż za moją rodzinną wsią. Później, kiedy podrosłam i zaczęłam dojeżdżać do szkoły średniej w Szczecinku, czekając na tamtejszym dworcu kolejowym na pociąg do domu, na sąsiednim peronie widziałam pociąg z tabliczką: Szczecinek – Łubowo – Borne Sulinowo. Obserwowałam wsiadających do wagonów pasażerów, Polaków i Rosjan. Wiedziałam, że Polakom wolno było jeździć tylko do Łubowa, gdzie musieli wysiąść, a nasze pociągi przejmowali „Ruski”. Z uwagą spoglądałam na przyjeżdżający z Bornego Sulinowa pociąg i wysiadających z niego najpierw Polaków, a na końcu często wytaszczających się z ogromnymi bagażami Ruskich, wojskowych i cywilów, kobiety i dzieci, całe rodziny. Ładowali te toboły na podstawione duże wózki, tak wysoko, jak się tylko dało. Potem, w specjalnie wyznaczonym miejscu, przepychano je na mój peron, na który miał wjechać pociąg relacji Kołobrzeg – Poznań. My czekaliśmy na jego przybycie w swoich grupkach, Rosjanie – w dość sporej odległości od nas, w swoich. Nie zauważyłam, by ktoś z Polaków podchodził do nich, rozmawiał z nimi, oni też nie zbliżali się do nas. Raz czekali bliżej parowozu, innym razem zaś daleko, na samym końcu peronu. Kiedy wreszcie wtaczał się na stację nasz pociąg, dołączano do niego osobne, zielone wagony dla Rosjan – osobowe i towarowe, mocno okratowane. Do nich ruscy mundurowi dość sprawnie pakowali bagaże. Potem niektórzy z nich przechodzili na drugi peron i wracali do Bornego Sulinowa, pozostali jechali dalej. Ludzie mówili, że w Poznaniu prześiadają się i podróżują dalej do Warszawy, a stamtąd do *Sajuza*, na urlop lub na stałe, po odbyciu swojej służby. Z ciekawością myślałam, co też mieści się w tych bagażach, co w nich wywożą od nas, z biednego przecież kraju. I tak patrzyłam na to przez pięć lat nauki w liceum, a potem podczas wszystkich, kilkurazowych, dorczych odwiedzin rodziny, aż do 1991 roku.

Dorzucę jeszcze jeden istotny szczegół z lat młodości, którego tu nie mogę pominąć. Otóż w Szczecinku, mieście powiatowym, także znajdował się duży rosyjski garnizon wojskowy z koszarami dla żołnierzy i specjalną dzielnicą mieszkaniową dla rodzin oficerów. W ciągu roku szkolnego, w drodze do liceum, każdego dnia spotykałam jadące w przeciwnym kierunku dziwne, nieduże, zielone autobusy z małymi, od połowy do góry zakratowanymi oknami, w których widziałam głowy dziewcząt i chłó-

pców, moich rówieśników, dzieci ruskich wojskowych, dowożonych do szkół w Bornem Sulinowie.

Codziennymi klientkami szczecineckich sklepów były korpulentne Rosjanki z wytapirowanymi, wysokimi, nalakierowanymi kokami na głowach, na odległość pachnące mocnymi, ruskimi perfumami, *duchami*, dość elegancko ubrane, z daleka odróżniające się od nas, Polek, sposobem zachowania, mową i wyglądem. Czuły się bardzo pewnie siebie, zawsze zadowolone, z dumą pokazywały w uśmiechu złote zęby. Miały dużo pieniędzy, kupowały najdroższe towary, i w dużych ilościach.

Na początku lat siedemdziesiątych w polskich sklepach z tekstyliami pojawiła się bardzo droga kremplina – zagraniczna, w bajecznie żywych kolorach – elastyczna tkanina na garsonki, kostiumy i letnie płaszcze, w cenie 1200 złotych za metr, więcej od ówczesnej, średniej, miesięcznej pensji nauczyciela (1075 złotych). Tylko nieliczne Polki było stać na kupno tego materiału. Za to Rosjanki wchodziły do sklepu, podchodziły do półek z belami krempliny i palcem wskazywały sprzedawczyni, z których ma im odciać np. pięć, sześć kuponów tego, a tyle innego koloru. Po ich otrzymaniu płaciły wyjmowanymi z grubo wypchanych portmonetek stu- lub dopiero co wprowadzonymi do obiegu tysiączłotowymi banknotami i nie kryjąc radości z udanych zakupów wychodziły na zewnątrz. Świetnie się im u nas powodziło i – tak po ludzku biorąc – nic dziwnego, że po latach wracając z mężami do siebie wiele z nich miało łzy w oczach. Pozostawiały za sobą zdewastowane, ukryte w lesie, otoczone murem Borne Sulinowo oraz wiele innych polskich, ernerdowskich, czechosłowackich, węgierskich, bułgarskich, rumuńskich miast.

Borne Sulinowo – do 1992 roku najlepiej strzeżona baza Północnej Grupy Wojsk Sowieckich – znajduje się 95 km na południe od Koszalina i 22 km na południowy zachód od Szczecinka. Naturalne granice miasta od północy oraz częściowo od wschodu wyznacza brzeg jeziora Pile, od południa – rozległe tereny po dawnych poligonach, od zachodu – przejazd kolejowy na bocznym, obecnie nieczynnym, odgałęzieniu linii kolejowej Szczecinek – Drawsko Pomorskie. Początek dzisiejszego miasta sięga 1587 roku, gdy przybyli na te tereny z Dolnej Saksonii i Westfalii osadnicy założyli dwie miejscowości – Grossborn (Stracony Zdrój lub Stracone Źródło) i Linde (Lipa; później Linde by Krangen, czyli Lipa koło Krągów). Spokojne dzieje typowo rolniczych, pomorskich siedzib ludzkich uległy gwałtownej zmianie w trzeciej dekadzie ubiegłego wieku. Wówczas władze III Rzeszy zdecydowały o utworzeniu tu wielkiego poligonu wojskowego. W latach 1933-38 wzniesiono olbrzymi kompleks koszarowy – ze wspaniałym Offizier Kasino (Dom Oficera), ozdobionym wizerunkiem św. Jerzego na frontonie, z przepiękną salą widowiskową i wychodzącym na jezioro tarasem widowiskowym, Szkołą Artylerii Wehrmachtu, bazy sprzętu, warsztaty naprawcze, szpital, kino i malowniczo położone nad jeziorem osiedle dla kadry oficerskiej. Najpiękniejszy w całej okolicy dom postawiono dla gen. Heinza Guderiana (1888-1954). Uroczystego otwarcia najnowocześniejszego na obszarze Rzeszy wojskowego ośrodka szkoleniowego (Truppenübungsplatz Gross Born) – z udziałem kanclerza III Rzeszy Adolfa Hitlera (przyjeżdżał tu wielokrotnie specjalnym pociągiem; co najmniej dwa razy towarzyszyła mu Ewa Braun; specjalnie dla niej nad jeziorem zbudowano okazały dom, zwany po latach willą Dubynina) – dokonano w dniach 18 i 19 sierpnia 1938 roku.

Efektom tego spotkania była decyzja Führera o pozostawieniu tu gen. Johannes von Blaskowitza (1883-1948) z zadaniem przygotowania planu nagłego, szybkiego uderzenia na Polskę, nazwanego Fall Weiss (Biały Plan), podpisanego przez Hitlera 19 kwietnia 1939 roku, określającego zakończenie przygotowań do jego wykonania na 1 września

1939 roku. Na poligonie garnizonu Gross Born później szkoliły się również jednostki pancerne gen. (następnie feldmarszałka) Erwina Rommla, zwanego Lisem Pustyni (1891-1944), przed udziałem w kampanii afrykańskiej. Zapamiętajmy zatem, II wojna światowa zaczęła się w Bornem Sulinowie, wówczas najbardziej tajnym miejscu III Rzeszy.

Wyznaczoną na 26 sierpnia 1939 roku rano ofensywę na Polskę odwołano. Podjęto ją 1 września o godz. 4.45. Gęsta mgła wisiała nisko nad ziemią, gdy dowodzone przez gen. Guderiana siły niemieckie przekroczyły granicę. Zadaniem ich było przełamanie polskiej obrony, wbiecie się klinem w głąb terytorium, sforsowanie Brdy między Sępólnem Krajeńskim a Chojnicami i szybkie dotarcie do Wisły. Przywozonych z frontu wziętych do niewoli polskich żołnierzy i cywilów umieszczano na terenie poligonu, w oddalonej o 12 km na południe w linii prostej od Bornego Sulinowa części, zwanej Westfalenhof (w czasach sowieckich – Gorodok, obecnie Kłomino), w barakach po pracownikach i na gołej trawie. Już we wrześniu utworzono dla nich Dulag (obóz przejściowy). W listopadzie 1939 roku przekształcono go w obóz dla jeńców – Stalag, istniejący do 1 czerwca 1940 roku. Jego miejsce zajął Oflag II D (zw. później Oflag II D Gross Born), obóz dla oficerów francuskich (od czerwca 1940 do maja 1942 roku; w lutym 1941 roku było ich 3731), od 1941 roku – dla oficerów polskich. Do tego zorganizowanego na dużą skalę obozu zwożono jeńców z różnych frontów. Oprócz wspomnianych Polaków i Francuzów, także Jugosłowian (1500), Brytyjczyków, a po 1941 roku masowo żołnierzy sowieckich (35 000). Po upadku Powstania Warszawskiego trafiła tu duża część jego uczestników. 1 stycznia 1945 roku w obozie więziono 5391 oficerów polskich.

Wśród najbardziej znanych, którzy po kilka miesięcy lub lat spędzili w Oflagu w Gross Born, byli m.in.: najstarszy stopniem, wzięty do niewoli w bitwie pod Kockiem dowódca Podlaskiej Brygady Kawalerii, gen. brygady Ludwik Kmicic-Skrzyński (1893-1972) i pułkownik dyplomowany, dyplomata Witold Józef Dzierżykraj-Morawski (1895-1944), nieprzeciętny człowiek o niepodważalnym autorytecie w obozie, cieszący się także szacunkiem Niemców, dbający o rozwój życia umysłowego i kulturalnego wśród jeńców. „Mielśmy już wówczas grono młodych ludzi zbierających się regularnie, by dyskutować narastające problemy społeczne i polityczne w myśl doktryny katolickiej, opartej o idee personalizmu. Marzyła się nam nowa Polska – „Królestwo Boże”, którego głową państwa byłaby Regina Poloniae. Czyste marzenia. Nie orientowaliśmy się, że już w podziemiu czai się inny wróg, który sięgnie po władzę. Utańczyło się, że co roku na święto Chrystusa Króla urządzaliśmy zazwyczaj cykl wykładów. W 1943 roku wystawiliśmy też w naszym teatrze misterium, które napisał nasz polski dowódca obozu pułkownik Witold Morawski (...). Z pierwszej wojny wyniósł Żelazny Krzyż Niemiecki, a w czasie naszej niepodległości pracował jako attaché militaire w różnych stolicach – w Bukareszcie i Berlinie. Znał dobrze Göringa. Misterium przedstawiało średniowiecznego mnicha przepisyującego Ewangelię św. Jana o rozmowie Pana Jezusa z Piłatem. Jego postać była z boku sceny, a sceną przesuwali się jego wizje lat przyszłych. Wielka szkoda, że ten utwór na pewno zaginął” – napisał śp. Henryk Kieniewicz (1911-98; więzień Gross Born; rodzony brat wybitnego historyka polskiego Stefana Kieniewicza (1907-92) w krótkim wspomnieniu dla Sióstr Karmelitanek Bosych w Bornem Sulinowie. Płk Morawski współpracował z działającą na Pomorzu konspiracyjną organizacją „Odra”. W październiku 1944 roku komendant obozu w Gross Born wydał go wraz z innymi oficerami w ręce gestapo. W czasie przestępstwa Morawski całą winę wziął na siebie, dzięki czemu ocalał życie wielu kolegów. Gestapo podejrzewało, że był on wciągnięty w spisek przeciwko Hitlerowi. Najpra-

wdopodobniej rozstrzelano go w dniu 9 listopada (lub grudnia) 1944 roku w obozie koncentracyjnym w Mauthausen. W 1964 roku władze wojskowe PRL awansowały go do stopnia generała brygady. Jeńcem wojennym oflagu Gross Born był także Adam Rapacki (1909-70), w latach 1956-68 minister spraw zagranicznych.

Mało znanym szerszemu ogółowi więźniem Gross Born był mieszkający we Francji od czasu wyzwolenia przez aliantów w 1945 roku z obozu w Niemczech sędziwy Polak, wygnaniec, bibliotekarz, archiwista, poeta, malarz, rzeźbiarz Czesław Paszkowski, odkryty dla polskiej literatury w 1993 roku przez redaktor naczelną „Naszej Roty”, prof. dr hab. Barbarę Jedynek. Przypomniano go Polakom 20 listopada 2002 roku w pięknej sali Trybunału Koronnego w Lublinie podczas uroczystej promocji starannie wydanego wyboru jego wierszy, zatytułowanego *Poezje*. Urodzony 1 lipca 1915 roku w Radzieży koło Sarn na Wołyniu w patriotycznym rodzie kresowym artysta-żołnierz, podporucznik, absolwent Podchorążówki w Równem, wraz z pokoleniem rówieśników we wrześniu 1939 roku stanął w obronie Ojczyzny. Pojmany pod Łuckiem trafił do niewoli sowieckiej, cudem uniknął śmierci od zdradzieckiej kuli w katyńskim lesie (zamordowanym tam poświęcił zupełnie nieznany, wstrząsający cykl liryki katyńskiej *Anioł widzenia*) i znalazł się w obozie niemieckim w Gross Born. Jak długo w nim przebywał – nie wiem. O jego pobycie tam świadczy wiersz:

Jestem z krainy płonących serc

*Jestem z krainy serc ogniem płonących,
Krwii rubinowej wiecznie pełnej czary,
Mieczy promienistych
I szpad w słońcu lśniących,
Rąk w ofierze czystych,
Niepokalanej ducha ojców wiary.*

*Jestem z krainy żywych dusz błękitnych,
Święconych skrzydeł barwą karmazynów.
Lutni ustopiennej,
Marzeń niebotycznych
I myśli zbawiennej,
Snów, legend, cierpień, nocy, ruin, czynów.*

*Moja kraina szeroka i długa,
Jak ramię ludu, tak wielka, potężna,
W synach zjednoczona.*

*Jej miarą Cecory,
Bieg cichego ptuga,
I grunwaldów pory,
A w tarczy Boga godnością orężna.
Grossborn 1940 (*Poezje*, Lublin 2002, s. 17-18)*

Literatami więzionymi w Gross Born byli także Leon Kruczkowski (1900-62; uczestniczył w pracy kulturalno-oświatowej, głównie teatralnej, jako kierownik literacki i inscenizator obozowego Teatru Symbolów – pod koniec swego istnienia w Gross Born

skupiał 92 aktorów, 10 reżyserów, 120 członków zespołu technicznego i administracyjnego oraz dwóch baletmistrzów – wystawiającego dzieła klasyków polskich; przeżycia obozowe zawarł w *Niemcach, Pierwszym dniu wolności i Śmierci gubernatora*) i Stanisław Ryszard Dobrowolski (1907-85), przybyły tu po upadku Powstania Warszawskiego, którego uczestników przywieziono w dwóch grupach, liczących 350 i 800 osób. Wśród nich byli m.in.: Tadeusz Żenczykowski (1907-97; późniejszy emigracyjny działacz niepodległościowy i historyk), Wiktor Trościanko (1911-83; poeta, publicysta, dziennikarz Radia Wolna Europa), Sławomir Bronisław Dunin-Borkowski „Jaskółski” (1909-58; redaktor powstańczych pism „Warszawa Walczy” i „Barykada”), mjr Henryk Sucharski (1898-1946; obrońca Westerplatte), historycy – Stanisław Płoski „Sławski” (1899-1966) i Aleksander Gieysztor „Borodziej” (1916-99), dwaj koledzy, pracujący w Biurze Informacji i Propagandy Komendy Głównej ZWZ-AK, autorzy pierwszego opracowania o Powstaniu Warszawskim, powstałego w listopadzie i grudniu 1944 roku w Oflagu II D Gross Born, jako informacja dla współwięźniów z kampanii wrześniowej 1939 roku, odtwarzającego ówczesny stan wiedzy o powstaniu. Napisany ołówkiem – ręką Gieyszтора, z kilkoma uzupełnieniami ręką Płoskiego – tekst, przeniesiony w czasie ewakuacji 1945 roku przez obozy w Sandbostel i Lübeck-Schwartau, wrócił do kraju. Złożono go w ówczesnym Instytucie Pamięci Narodowej (1948-50). W 1981 roku (z innego odpisu) wydała go w drugim obiegu Oficyna Wydawnicza „Signum”. Ja go znalazłam w książce *Powstanie Warszawskie. 1 sierpnia – 2 października 1944. Służby w walce* (Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 1994, s. 209-235).

W obozie była również biblioteka, licząca około 22 000 ocenzonego przez Niemców ksiązek, ostemplowanych pieczęcią „Biblioteka Jeńców Obozu II D”. Duża część jej zbiorów – w niewiadomy sposób – trafiła do Połczyna Zdroju.

Ogromnym, mało znanym przedsięwzięciem – zorganizowanym latem 1944 roku w Gross Born z inicjatywy dziennikarza, sprintera, dwukrotnego uczestnika Igrzysk Olimpijskich w Paryżu (1924) i Amsterdamie (1928) Zygmunta Eugeniusza Weissa (1903-77), redagującego w obozie „Przegląd Sportowy” (wydał ponad 1500 numerów) – były Letnie Igrzyska Olimpijskie, zamknięte 15 sierpnia, poprzedzone dużą wystawą o tematyce olimpijskiej i konkursem plastycznym. Henryk Swolkień (1910-90; publicysta muzyczny, radiowiec i kompozytor) skomponował hymn olimpijski na cztery trąbki. Na rozpoczęcie igrzysk odbyła się defilada 464 zawodników startujących w kilkunastu konkurencjach lekkoatletycznych (z wyjątkiem zakazanych przez Niemców rzutu oszczepem, strzelania z łuku i skoku o tyczce) przed gen. Kmicicem-Skrzyńskim i płk. Morawskim, odegrano hymn i wciągnięto na maszt flagę z pięcioma kółkami olimpijskimi. Zwycięzcom wręczono medale, wybite przez pocztę obozową, która przez cały okres istnienia obozu wyemitowała 120 tys. znaczków, w tym także składający się z trzech znaczków bloczek o tematyce olimpijskiej. Czasami można go nabyć na aukcjach za dość wysoką cenę.

26 stycznia 1945 roku padł rozkaz ewakuacji obozu. Około 900 oficerów, zwłaszcza słabszych i starszych, symulując choroby oraz nastawionych prosovietcko, postanowiło pozostać. Ponad 3000 – załadowawszy na szybko zrobione w nocy z prycz, stołków i stołów sanki nędzne tobołki – w kilkusetosobowych grupach, w śniegu i mrozie wyruszyło w długi marsz na zachód. Po pokonaniu około siedmiuset kilometrów z końcem kwietnia dotarło do Sandbostel (koło Hamburga) i Lubeki, gdzie zostało wyzwolonych przez wojska brytyjskie. Duża część z nich wstąpiła do Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie i do kraju nie mogła wrócić.

Pozostali w obozie jeńcy słyszeli coraz wyraźniejsze odgłosy ciężkich walk na linii Wału Pomorskiego – zbudowanej przez Niemców sieci bunkrów, okopów, rzędów kolczastych drutów i pól minowych, perfekcyjnie wplecionych w naturalne przeszkody terenowe (liczne jeziora i rzeki) – toczonych tak blisko ich miejsca uwięzienia, gdzie także znajdował się duży odcinek umocnień, opartych o rzekę Pilawę i Zalew Nadarzycki. 3 lutego 1945 roku do okolic Gross Born zbliżyła się I. Armia Wojska Polskiego, która od sowieckiego dowództwa dostała rozkaz zdobycia miejscowości Nadarzyce, Szwecja, Sypniewo i Kłomino. Następnego dnia 18. Pułk Piechoty 6. Dywizji Piechoty, uczestniczący w walkach o przełamanie Wału Pomorskiego, zdobył Westfalenhof, wyzwalając ok. 300 oficerów polskich i jugosłowiańskich. Pomimo wcześniejszych ostrych walk Sowietci zajęli Oflag Gross Born praktycznie bez wystrzału, staczając jedynie krótką potyczkę o magazyn amunicji, co do dziś trudno zrozumieć. Dysponując doskonałymi środkami bojowymi i takimiż możliwościami technicznymi, wojska niemieckie opuściły miasto bez walki. Sowietci zastali w nim ogromną ilość sprzętu wojskowego, prowiantu i amunicji, kilka stojących na pasie startowym samolotów, a na boczniczy kolejowej kilkanaście pociągów, przygotowanych do ewakuacji. Część wyzwolonych polskich oficerów od razu wstąpiła do wojska i uczestniczyła w dalszych walkach z Niemcami. Resztę przewieziono do Jastrowia, stamtąd w głąb kraju.

Po „pierwszym dniu wolności” nadeszły „pierwsze lata” po zakończeniu wojny. W Szczecinku i Bornem Sulinowie od około 1947 roku zaczęły zwiększać się wojskowe siły sowieckie, których pobyt tu – jak i na terenie całego kraju – usankcjonowano 17 grudnia 1956 roku „Umową o statusie prawnym wojsk radzieckich **czasowo** [podkreślenie M.W.] stacjonujących w Polsce”. W Bornem Sulinowie – na długie 45 lat – zainstalowała się 6. Gwardyjska Witebsko-Nowogrodzka Dywizja Zmechanizowana. Na ogrodzonych betonowym płotem z drutem kolczastym wysokich budach stali wartownicy strzegący tego chyba najbardziej tajnego obiektu sowieckiego, będącego jednocześnie największym zgrupowaniem lądowych wojsk sowieckich w Polsce, obejmującego wspomnianą dywizję, 2 pułki zmechanizowane, pułk i batalion czołgów, pułk artylerii, dywizjon artylerii przeciwlotniczej, bataliony: saperów, zaopatrzenia, medyczny, rozpoznawczy, brygadę rakiet operacyjno-taktycznych, skład materiałów pędnych i smarów – ogółem ok. 25 tysięcy żołnierzy, mających do dyspozycji poligon o powierzchni 18 000 ha. Dojazdu do niego broniły szlabany, ustawione na drogach tuż za wsiami Krągi, Starowice i Liszków.

Od około 1975 roku tajność i tajemniczość Bornego Sulinowa – według relacji okolicznych mieszkańców – zaczęła się zmniejszać, co przejawiało się w nawiązywaniu kontaktów między żołnierzami sowieckimi i Polakami, prowadzających się głównie do nielegalnej i legalnej wymiany handlowej. Słyszało się o kupnie benzyny i ropy od Ruskich. Osobiście poznałam smak dobrych czekoladowych cukierków i ryby sajry w oleju, pochodzących z handlu z Ruskimi. Niektórym rodakom zdarzało się legalnie wjechać do miasta i opowiadać później co tam widzieli, przede wszystkim o pomniku Lenina, ustawionym na wysokim postumencie czołgu i wielkiej pepeszy w dłoni krasnoarmiejca.

21 października 1992 roku z rampy kolejowej w Bornem Sulinowie odjechał ostatni eszelon z ostatnimi żołdatami z liczącego 15 tysięcy żołnierzy kontyngentu 6. Nowogrodzko-Witebskiej Gwardyjskiej Dywizji Armii Federacji Rosyjskiej. Ich dowódca, gen. Władimir Dubynin zmarł wkrótce, w niedzielę 22 listopada 1992 roku, w niewyjaśnionych dotąd okolicznościach. O jego śmierci telewizja rosyjska poinformo-

wała z 36-godzinny opóźnieniem, a prasa jeszcze później. Jest to bardzo dziwne, biorąc pod uwagę fakt, że był wówczas szefem Sztabu Generalnego i pierwszym zastępcą ministra obrony Federacji Rosyjskiej. Miał zaledwie 49 lat. Jako przyczynę śmierci podano – rak płuc. Właśnie, na brukowanym peronie (przy wyjeździe w stronę Łubowa), miejscu intensywnego ruchu pociągów, pożegnano ich uroczyście z udziałem wojskowej orkiestry. Wielu z wyjeżdżających, twardych, zaprawionych we wszelkich trudach i niedogodnościach, mężczyzn płakało. Cóż, skończył się dla nich pobyt w swoim Eldorado. Podczas wyprowadzania wojsk sowieckich, po raz pierwszy od 1945 roku, polskie władze – w przybliżeniu – mogły się dowiedzieć ilu właściwie żołnierzy i ile sprzętu znajdowało się na naszym terytorium, np. w 1991 roku wyjechało m.in. 350 czołgów i 1020 transporterów opancerzonych, zaś w 1992 roku: 220 czołgów, 756 transporterów opancerzonych, 151 samolotów bojowych, 41 śmigłowców uderzeniowych, 196 mln 584 tys. ton zapasów materiałowych, w tym 46 053 tony amunicji.

Ucichły dźwięki hymnów, łopot sztandarów. Zapanowała śmiertelna cisza, nawet nieprzerywana głosem ptaków. Na ulicach gdzieś poniewierały się rzeczy zbędne lub takie, których wyjeżdżający nie zdążyli zabrać. Na cmentarzu, na grobach dzieci siedziały nagie lalki z wyblakłego plastiku. Czterdzieści siedem lat po wojnie Polska odzyskała osiemnaście tysięcy hektarów swojej ziemi – lasów i jezior z miasteczkiem po środku – deptanej butami żołnierzy Wehrmachtu, później przez dziesięciolecie armii sowieckiej, ziemi, w którą trzeba było tchnąć nowe życie. Dla wielu Polaków były to chwile wielkiego wzruszenia. Mało kto wierzył, że dożyje takiego czasu. Nastąpił nowy etap w dziejach Bornego Sulinowa, które „wyszło do cywila! Przyszedł czas pionierów!” – jak trafnie napisał Andrzej Sztylar. Opiekę nad nim przejęło 400 żołnierzy z 41. Pułku Zmechanizowanego Wojska Polskiego i pełniło ją do kwietnia 1993 roku. Potem Borne Sulinowo przeszło pod jurysdykcję gminy Silnowo.

Zainteresowanie nową miejscowością w całym kraju było ogromne. Choć żaden z budynków nie nadawał się do zamieszkania, nie było miejskiej infrastruktury i brakowało wykwalifikowanej kadry urzędników, nie nadszła z wydawaniem przepustek. 24 stycznia 1993 roku zorganizowano „dzień otwartych bram”. Od samego rana do tymczasowej siedziby władz walili przybyli z najróżniejszych stron kraju ludzie. Podobno było ich kilka tysięcy i dziesiątki dziennikarzy. Jednym z pierwszych mieszkańców był młody ksiądz Remigiusz Szrajnert. W odprawionej przez niego w dniu 7 marca 1993 roku Mszy św. w zaadaptowanej salce wojskowego kinoteatru uczestniczyło dwunastu wiernych. Wkrótce cały ten budynek został przeznaczony na kościół dla parafii, utworzonej 15 lutego 1993 roku przez biskupa koszalińsko-kołobrzeskiego Ignacego Jeża, więźnia obozu koncentracyjnego w Dachau, od 1998 roku honorowego obywatela miasta Borne Sulinowo, kardynała elekta (zmarł w Rzymie 16 października 2007 roku). Kościół poświęcony został przez księdza prałata Zbigniewa Reglińskiego pod wezwaniem św. Brata Alberta Chmielowskiego. 20 kwietnia 1993 roku radni przyjęli opracowaną przez koszalińskich heraldyków wersję herbu miejscowości – zielona lipa na żółtym tle, co nawiązywało do historycznej nazwy Linde by Krangen: Lipa koło Krągów. Trzy dni później nadali polskie nazwy pierwszym ulicom. 5 czerwca 1993 roku decyzją Rady Ministrów dokonano otwarcia miasta Borne Sulinowo. W sierpniu do pierwszego wyremontowanego bloku mieszkalnego wprowadziło się osiemdziesiąt rodzin, które wpłaciły za nie po 20 milionów starych złotych. 15 września 1993 roku Borne Sulinowo otrzymało prawa miejskie. W nocy z 2 na 3 grudnia tego roku na świat przyszedł pierwszy bornosulinowianin. Dano mu na imię Dawid. We wrześniu

1994 roku w Bornem odbyła się uroczysta inauguracja roku szkolnego. 1 stycznia 1995 roku miejsce gminy Silnowo zajęły miasto i gmina Borne Sulinowo.

Będąc w sierpniu 1995 roku w sanatorium w Połczynie Zdroju – wraz z grupą kuracjuszy – wybrałam się po raz pierwszy na wycieczkę do miasta, o którego istnieniu wiedziałam od dzieciństwa. Przed wjazdem do niego minęliśmy cmentarz ze wspomnianą pepeszą w rękę krasnoarmiejca, potem betonową bramę, której mieszkańcom tych ziem nie wolno było przekraczać przez ponad czterdzieści lat. Przy pięknej pogodzie wolniutko spacerowaliśmy, przyglądając się wszystkiemu dokładnie i z wielką ciekawością słuchaliśmy opowieści przewodnika. Na murach domów widniało sporo śladów po niedawnych mieszkańcach, czerwone gwiazdy, tabliczki z rosyjskimi nazwami ulic, jakieś zamalowane napisy, wiele bloków z pozabijanymi oknami, drzwiami. Wokół piękny las, w głębi śliczne jezioro. Zajrzałam do kościoła: tabernakulum, zwyczajny stół – ołtarz, na ścianach skromne stacje drogi krzyżowej, w oknach odbijające się promienie zachodzącego słońca... Na ulicach sporo ludzi, żadnego pośpiechu, nastroj raczej smętny, perspektywy życia marne, brak pracy...

Tyle różnych myśli w głowie i radość, że mimo niewesołego, przygnębiającego widoku, wreszcie to naprawdę nasze, polskie, bez obcych wojsk. I taka refleksja, że może całe to miejsce należałoby pozostawić w stanie zastanym, jako swego rodzaju skansen – muzeum, pamiątkę nieodległej historii, odzwierciedlającej wyjątkowy pod każdym względem etap braku suwerenności Polski po II wojnie światowej, ku przestrodze potomnych, żeby przyjeżdżając tu mogli przekonać się, że tak rzeczywiście było. Utrzymanie całego tego niemiecko-sowieckiego poligonu wymagałoby zapewne dużych nakładów finansowych, planów, sztabu ludzi, ochrony, ale przecież w znacznie trudniejszych czasach w tylu miejscach udało się zabezpieczyć obozy koncentracyjne. Na Borne Sulinowo zabrakło pomysłu, środków. Czas zatrze ślady, pozostanie wyobraźnia, opowieści pierwszych osadników. Tak wtedy myślałam.

Tymczasem 20 sierpnia 1996 roku w Bornem zameldowany został dwutysięczny mieszkaniec. Osiedlili się tu ludzie z ponad trzydziestu ówczesnych województw, najwięcej ze Śląska i Szczecina. Miejsce pierwszych emocji zajęła codzienność, przerywana niecodziennymi wydarzeniami. Jednym z nich był pięciodniowy pobyt legendarnego Kuriera w Warszawy, wieloletniego dyrektora Radia Wolna Europa Jana Nowaka-Jeziorańskiego (1914-2005), który wyjątkowo zgodził się, by za życia zostać patronem borneńskiej szkoły podstawowej. W tym celu przyjechał tu 21 czerwca 2001 roku. Następnego dnia po odprawionej w kościele przez bpa Jeza Mszy św. w jego intencji uczestniczył w niezwyklej uroczystości zakończenia roku szkolnego, połączonej z nadaniem jego imienia szkole. Ze wzruszeniem obejrzał przygotowane przez uczniów przedstawienie na podstawie jego książki *Kurier z Warszawy*. Ocierając łzy, powiedział – „Tym dzieciom, nauczycielom i rodzicom zawdzięczać chyba najpiękniejszą chwilę w moim życiu. Przeżyłem kłęski: 1939 roku, Powstanie Warszawskie, Jałtę, stan wojenny. A ta szkoła jest symbolem zwycięstwa nadziei”. Do uczniów skierował serdeczne słowa – „Jesteście pokoleniem, którego świętym prawem jest poszukiwanie szczęścia. W moim przekonaniu człowiek znajduje szczęście nie w majątku, nie we władzy, nie w karierze, tylko w służeniu innym, sobie służy się najlepiej kiedy służy się innym”. O mieście mówił, że jest ono „przede wszystkim wielkim symbolem, wielkim osiągnięciem. Jeszcze dwanaście lat temu Polak nie mógł w ogóle wejść na ten teren. Tu działali nasi kolejni wrogowie: Niemcy hitlerowscy i Sowieci. To miejsce to dla mnie symbol prawdziwego odrodzenia się Polski i tego, co potrafiła osiągnąć w ciągu tak niewielu lat”. W dniu pogrzebu – 26 stycznia 2005 roku –

Kuriera z Warszawy na Warszawskich Powązkach, w Bornem odprawiono Mszę św. o spokój Jego duszy.

Mieszkając daleko od Bornego Sulinowa śledziłam z uwagą jego nowe losy, gromadziłam artykuły prasowe, oglądałam dokumentalne filmy telewizyjne. Do kolejnej, całodzienniej konfrontacji wiedzy z rzeczywistością „leśnego miasta” doszło w sobotę, 16 sierpnia 2003 roku. Towarzyszyli mi w niej brat Marian i bratowa Bożenka. Jadąc samochodem od strony Szczecinka, tuż za wsią Krągi, dzięki ustawionej przy drodze tablicy zatrzymaliśmy się przy położonym w głębi lasu cmentarzu wojskowym poległych w czasie kampanii wrześniowej żołnierzy polskich, w większości nieznanymi (za wyjątkiem grobów sierżanta Aleksandra Skwary – zm. 16 IX 1939, ppor. Bogusława Jodłowskiego – zm. 19 IX 1939 i por. Stefana Ostrowskiego – zm. 2 XII 1943, jeńca albo kogoś innego, przygnanego przez wojnę) oraz polskich i sowieckich, którzy zginęli w 1945 roku podczas walk o przełamanie Wału Pomorskiego. Drugi nasz postój nastąpił na kolejnym cmentarzu ze wskazującym go z daleka przywoływanym już pomnikiem – celującej w niebo pepeszy z zaciśniętą na kolbie dłonią. Są tam groby pochowanych w powojennych latach Rosjan: żołnierzy, kobiet i dzieci. Tylko na dwóch z nich były krzyże. Na ogrodzonej metalowym płotkiem mogile kilkumiesięcznej Olgi Łobanowej, zmarłej 15 kwietnia 1984 roku, leżała plastikowa lalka i bałwanek. Obrazek ten chwycił za serce.

Przyszła wreszcie pora na realizację głównego celu mojej wizyty w mieście, od dawna oczekiwanego spotkania z tutejszymi siostrami karmelitankami bosymi. Po krótkiej modlitwie w otwartej dla każdego kaplicy zakonnej weszłam do klasztoru. Po chwili za kratą pojawiła się wysoka, szczupła siostra Teresa od Jezusa o znanej mi skądś uśmiechniętej twarzy i głosie. Rozmowa z nią była ogromną przyjemnością. W jej toku poznawałam kawałek niezwyklej historii dawnego, niemieckiego Gross Born, sowieckiego i polskiego Bornego Sulinowa, a także losów mojej rozmówczynie – córki dobrze mi znanego (nie tylko z publikacji, ale również z bezpośredniego uczestnictwa w interesujących wykładach na temat różnych aspektów Powstania Styczniowego podczas jego kilkakrotnych wizyt w Lublinie), wymienionego wyżej historyka S. Kieniewiczza, tak bardzo podobnej do ojca, stąd od pierwszego wejrzenia jak gdyby mojej dobrej znajomej od lat, urodzonej 28 sierpnia 1944 roku w Warszawie (ukończyła anglistykę na Uniwersytecie Warszawskim, tam zrobiła doktorat i habilitację; w 1984 roku wstąpiła do Karmelu w Gdyni-Orłowie; obecnie jest przeoryszą klasztoru w Bornem Sulinowie). W nr 6 „Tygodnika Powszechnego” z 11 lutego 2007 roku ukazała się długa, ciekawa rozmowa z nią, zatytułowana *Na pierwszej linii frontu*; przytoczę kilka fragmentów wypowiedzi Siostry Teresy Kieniewicz: „Okazuje się, że w świecie mediów i jupiterów nadal istnieją kobiety, które wybierają życie ukryte i niepozorne. W kulturze ogłuszającego hałasu wybieramy ciszę i milczenie. Zamiast gonitwy za karierą, sukcesem i pieniędzmi decydujemy się na ubóstwo i niepozorność. I wreszcie, w oszałamiającej presji samorealizacji, wolności i swobody decydujemy się na posłuszeństwo. A co najważniejsze: jesteśmy przy tym szczęśliwe (...) zarówno sprawy ludzkie, jak i sprawy Kościoła są stale przedmiotem naszej modlitwy (...) Naszą modlitwą wkładamy niejako w Boże ręce sprawy, wydarzenia czy dramaty ludzkie, by Bóg się nimi zajął. On wie, co dla nas najlepsze. Krótko: dajemy to, co mamy najcenniejsze, modlitwę”. Wiadomość o jej szczęśliwym przyjściu na świat podczas ciężkich walk Powstania Warszawskiego przekazał w październiku 1944 roku – więzionemu tu od 1939 roku (kilkanaście km od obecnego klasztoru) jej stryjowi, por. H. Kieniewiczowi

– A. Gieysztor, powstaniec warszawski, przyjaciel wywiezionego do Dachau ojca S. Kieniewicz, jeniec Gross Born.

Wspólnotę w Bornem Sulinowie utworzyły karmelitanki z klasztoru w Gdyni-Orłowie, gdy tam znacznie przekroczyły ustalone regułą zakonną 21 osób. Przez kilka lat szukały odpowiedniego miejsca na nową fundację. Żadne jednak nie spełniało ich oczekiwań. Wiosną 1993 roku trafił do nich młody człowiek ze Szczecinka i zaczął opowiadać o Bornem Sulinowie, namawiając do odwiedzenia miasta, w którym proboszczem był jego katecheta, ks. Szrajnert. Zachęczone propozycją siostry przyjechały tu w czerwcu, krótko po uroczystym otwarciu miasta. Zastały krajobraz jak po bitwie. Na każdym miejscu wszystko ją przypominało, począwszy od cmentarza, z wyciągniętą do góry dłonią z pepeszą zamiast krzyża, dalej zaś opuszczone domy z powyrywanych drzwiami i oknami, jakieś rozwalające się hale, warsztaty, wszędzie gruz, śmiecie, nieład, niewiele ludzi na ulicach. Jednak przez tę – zdawałoby się na pierwszy rzut oka – brzydotę przebijał się jakiś szczególny urok. Samo miejsce – las, cudne jezioro, niezwykła cisza – przyciągało wzrok, mimochodem wyzwalając zachwyt i dodając odwagi do pozostania na dłużej, a może nawet na zawsze, pomimo wyzierającej niemal z każdego kąta jego groźnej, przykrej i smutnej historii. Tak jak jego pierwszych mieszkańców, Borne Sulinowo urzekło i siostry, które na swój nowy klasztor wypatrzyły dawny koszarowiec na skraju lasu, pod wysokimi świerkami, niedaleko jeziora. Wbrew obawom, czy miasto wróci do życia i czy zdołają się tu utrzymać, złożyły do władz miejskich stosowne pisma z prośbą o przyznanie im wybranego budynku i przylegającego do niego kawałka gruntu na zakonny ogród. Jeszcze w tym samym roku otrzymały pozytywną odpowiedź. Rok później podjęły prace remontowe i adaptacyjne.

Najpierw ktoś ufundował okna, a od 1 marca 1995 roku zaci kaszubscy budowlancy, uczniwi i pracowici, od rana do wieczora uwijali się na placu budowy. Nie zginęła ani jedna śruba, ani jeden gwóźdź, a wspierane finansowo przez sponsorów prace posuwały się szybko. Wielkim dobrodziejem był związany z Apostolstwem Fatimskim niemiecki ksiądz Martin Übelhör z Fuldy, który systematycznie zasilał konto remontowe. Mimo sędziwego wieku dane mu było 25 maja 1997 roku uczestniczyć w poświęceniu klasztoru przez ordynariusza koszalińsko-kołobrzeskiego, ks. bpa Mariana Gołębiowskiego, obecnego metropolite wrocławskiego. Trzy miesiące później, w uroczystość Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny (15 VIII 1997 roku) dziewięć karmelitanek objęło swoją nową – pod wieloma względami – niewykończoną jeszcze placówkę. Na ścianie kaplicy zawisł piękny, drewniany, rzeźbiony, bardzo „niemiecki” w stylu krucyfiks – pierwszy dar ks. Martina oraz wizerunek Bożej Rodzicielki, niewielka reprodukcja ikony Matki Boskiej Włodzimierskiej, spontanicznie ofiarowana przez Matkę Przeoryszę z Gdyni.

Te dwa – o wielkiej, symbolicznej wymowie prezenty-znaki – niemiecki krzyż i ruska ikona, nawiązujące do dziejów Bornego Sulinowa, do jego tragicznej, przedwojennej, niemieckiej historii (Gross Born) i równie bolesnej, smutnej, powojennej, sowieckiej (Borne Sulinowo), na polskiej wszak ziemi, podpowiedziały siostronom nazwę ich nowego klasztoru – Karmel Maryi Matki Pojednania. Wracające do życia i polskości miasto wciąż bowiem potrzebuje wielkiej modlitwy o pojednanie pomiędzy ludźmi i narodami, o pojednanie człowieka z sobą samym, nade wszystko z Bogiem. Swoją cichą modlitwą karmelitanki pragną przywrócić tę ziemię jej Stwórcy i przybliżyć do Niego jej nowych mieszkańców, a wszystkim szukającym Boga otworzyć przestrzeń spotka-

nia z Nim. Wielką pomocą w ich posłannictwie jest apostołskie błogosławieństwo Ojca Świętego Jana Pawła II.

Jako pierwsza z tej wspólnoty zakonnej do domu Ojca odeszła 24 lipca 2007 roku siostra Janina Immakulata Adamska, jedna z najwybitniejszych polskich karmelitanek. Urodziła się 11 lipca 1922 roku w Ostrowie Wielkopolskim. Podczas II wojny światowej jej ojciec został rozstrzelany przez Niemców, a ona z narażeniem życia uczyła polskie dzieci na tajnych kompletach. Po ukończeniu polonistyki na Uniwersytecie Adama Mickiewicza w Poznaniu w wieku 26 lat wstąpiła w 1948 roku do Karmelu w Poznaniu. Od 1974 roku była w klasztorze w Elblągu, od 1982 roku w Gdyni-Orłowie. Ostatnie dziesięć lat życia spędziła właśnie w Bornem Sulinowie. Była autorką książek o karmelitańskich świętych, tłumaczką i znawczynią myśli św. Teresy Benedykty od Krzyża – Edyty Stein (1891-1942; Żydówka, urodzona we Wrocławiu, przeszła na katolicyzm, uczona, filozof, zagazowana w obozie koncentracyjnym w Auschwitz). Ta przygoda ze Świętą towarzyszyła jej do końca życia.

Po gościnnej wizycie u Sióstr Karmelitanek Bosych udaliśmy się na dalsze zwiedzanie Bornego Sulinowa. Minęliśmy piękną, zbudowaną dla Ewy Braun willę, będącą rezydencją ostatniego sowieckiego gen. Dubynina, obecnie stanowiącą własność prywatną. Po chwili dotarliśmy do kościoła parafialnego. Jego wnętrze prezentowało się bardziej okazale niż przed ośmioma laty. Moją szczególną uwagę przykuł ołtarz główny z zagadkowym tryptykiem *Matki Bożej Kłomińskiej* – jak się wkrótce dowiedziałam – mający wielki związek z Oflagiem Gross Born. Oto jego niezwykła historia. Jest on wykonaną przez koszalińskiego rzeźbiarza dr. Zygmunta Wujka i umieszczoną 14 czerwca 2003 roku na ścianie prezbiterium świątyni repliką tryptyku *Matki Bożej Oflagowej*, wykonanego w 1942 roku z pakowego papieru, desek z pryczy i blachy z puszek po konserwach przez Jana Zamoyskiego (1901-86), malarza, scenografa, współzałożyciela i do 1939 roku prezesa Bractwa św. Łukasza w Kazimierzu nad Wisłą, uczestnika kampanii wrześniowej w walkach w obronie Wybrzeża, jeńca Oflagu II E Neubrandenburg, przeniesionego z innymi polskimi oficerami w styczniu 1944 roku do Oflagu Gross Born. Dzięki Bożej Opatrzności do nowego obozu udało mu się przemyścić swoje dzieło i umieścić je w zaprojektowanej przez siebie kaplicy w jednym z jenieckich baraków. Przed *Matką Bożą Oflagową* modlili się rano i wieczorem polscy oficerowie i żołnierze do stycznia 1945 roku.

Po wyzwoleniu obozu 4 lutego przez 18. Pułk Piechoty 6. Dywizji Piechoty I. Armii Wojska Polskiego o pięknym ołtarzu polowym od byłego jeńca dowiedział się ks. mjr Marian Mościński (1912-80), kapelan 4. Dywizji Piechoty im. Jana Kilińskiego. Wraz z kilkoma osobami niemal w ostatnim momencie z palącego się baraku uratował tryptyk. Towarzyszył on „kilińszczakom” w ich dalszych walkach. To przed nim po zdobyciu Kołobrzegu 18 marca 1945 roku odnowiono historyczne zaślubiny Polski z morzem. Razem z dywizją wędrował przez Pomorze Zachodnie, przeprowił się przez Odër i dotarł do Berlina. Tam 9 maja 1945 roku przy ołtarzu z tryptykiem *Matki Bożej Oflagowej* ks. kapelan Mościński odprawił dla całej dywizji uroczystą Mszę św. dziękczynną za odniesione zwycięstwo w II wojnie światowej. Po jej zakończeniu zabrał tryptyk ze sobą. Towarzyszył mu w pracy duszpasterskiej w archidiecezji poznańskiej i wrocławskiej. Zupełnie przypadkowo – w 1972 roku podczas projekcji filmu pt. „Kilińszczacy” (z 1969 roku) w warszawskim kinie „Ochota” – odnalazł go jego twórca J. Zamoyski, przekonany, że jego obozowe dzieło spłonęło podczas walk o wyzwolenie Oflagu. Trafiło ono na wystawę prac artysty w „Zachęcie”. Po konserwacji umie-

szczono je w kaplicy Żołnierza Polskiego w kościele garnizonowym przy ul. Długiej w Warszawie, podniesionym 24 lutego 1991 roku do rangi katedry polowej.

Po opuszczeniu świątyni udaliśmy się do Kafe „Sasza”, restauracji prowadzonej przez Oleksandra Pivena i jego żonę Wierę, Ukrainka, który w 1986 roku przybył do Bornego Sulinowa i był garnizonowym fotografem. W 1992 roku wraz z armią wyjechał stamtąd na Ukrainę, lecz po kilku latach wrócił tu. Kupił mieszkanie i otworzył zakład fotograficzny. W 2003 roku wydał *Album garnizonowego fotografa*, zawierający wykonane przez niego zdjęcia stacjonującej tu armii sowieckiej. Można go dostać na aukcjach. Kupiliśmy kilka pocztówek, podeszliśmy pod usytuowaną na niewielkim wzgórzu wśród pięknego, mieszanego lasu zrujnowaną po pożarze w 1990 roku willę Guderiana, pełniącą w sowieckich czasach funkcję przedszkola. Przygodnie spotkany chłopak zaprowadził nas do częściowo urządzonej prywatnej izby muzealnej. Jeszcze krótka chwila przed ratuszem, rzut oka na pięknie odbijające się popołudniowe słońce w tafli jeziora Pile.

Postanowiliśmy pojechać do pobliskiego drugiego, równie nieistniejącego oficjalnie do 1992 roku miasta Kłomino. Dotarliśmy tam wyboistą drogą wijącą się wśród poligonowych, bezkresnych wrzosowisk, 600 hektarów fioletoworóżowego krajobrazu. Tak musiały wyglądać *Wichrowe wzgórza* Emily Bronte, jednej z pięknych książek mojej młodości, pomyślałam. Kiedyś marzyłam o tym, aby choć raz w życiu pobiegać jak bohaterka wspomnianej lektury po wrzosowiskach Szkocji. Okazało się to niepotrzebne, bo nagle znalazłam się w podobnej scenerii. Jak okiem sięgnąć wszędzie cudownie kwitły i pachniały fioletoworóżowe kwiatuszki, a wśród nich uwijały się pracowite pszczoły z rozstawionych przez pszczelarzy uli. Zachwycona nadzwyczajnym pięknem niespodziewanie przeżyłam to co filmowcy nazywają *magic hour*, magiczną godziną.

Wolno przejechaliśmy wzdłuż podwójnego, długiego szeregu stosunkowo nowoczesnych kilkupiętrowych bloków, zbudowanych pod koniec 80. lat tamtego wieku dla średniej kadry oficerskiej jednostki sowieckiej. Ani żywego ducha. Prawdziwie wymarłe miasto. Wjechaliśmy między starsze budynki, pochodzące z czasów niemieckich. Miasto przeznaczone dla 25-tysięcznego garnizonu wojskowego zamieszkuje obecnie kilka rodzin, które od władz gminy otrzymały mieszkania socjalne. Na ich oczach znikła Kłomino, dewastowane i rozkradane przez zorganizowaną wielką grupę przestępczą, właściwa lokalizacja opisywanego tu jenieckiego obozu, urządzonego na piaszczystym pagórku, zwanym przez więzionych tu Polaków Hundenberg (Psia Górka). Miasto tak rozkradzione, że nie ma nawet studzienek kanalizacyjnych. Do niestrzeżonych budynków można wejść bez problemu, ale trzeba uważać, by coś nie spadło na głowę. Niektóre mieszkania wyklejone są jeszcze radzieckimi gazetami. W środku gnieźdzą się ptaki, mech prześwituje przez dziurawe dachy. Na betonowych podłogach, z których już dawno zdarto wykładziny, leżą odłamki szkła. Z dawnego domu kultury została tylko jedna ściana z freskiem przedstawiającym kobietę uosabiającą Rosję. Jakież to wszystko tragiczne! I tamto, co minęło i to, co teraz.

Podjeżdżamy do dawnego nasypu kolejowego. Podchodzimy do upamiętniającego polskich jeńców, wzniesionego 11 listopada 1998 roku przez mieszkańców ziemi kosałińskiej wysokiego, kamiennego krzyża z głową Chrystusa w koronie z drutu kolczastego, wyrzeźbionego przez Z. Wujka, ustawionego na cokole z napisem – „Tu polscy oficerowie w obozie jenieckim Oflag II D Gross Born 1939-1945 walczyli i pracowali na polu teatru, sztuki, literatury, szkolnictwa, nauki i dziennikarstwa”. Z lewej strony krzyża wykute daty 1939-1945, z prawej – znak Polski Walczącej z datą 1944. Zatrzymujemy się przy kolejnym, kamiennym monumencie z metalową tablicą i sło-

wami w języku polskim i francuskim – „Pamięci oficerów francuskich z oflagów II D i II B zmarłych w niewoli w latach 1940-45, a w szczególności porucznika Andre Rabin, zabitego przez Niemców z bliska u wyjścia z podkopu w trakcie usiłowania ucieczki”. Zauważamy także duży głaz z metalową tablicą po polsku i francusku – „Tu 3000 oficerów francuskich więźniów wojennych więzionych było przez Niemców w Oflagu II D od czerwca 1940 roku do maja 1942. W maju 1942 przeniesieni zostali do Oflagu II B zajmowanego przez więzionych tam oficerów polskich, a których przeniesiono do Oflagu II D”. Zauważamy jeszcze drugą tablicę informującą, że „Tym miejscem pamięci narodowej opiekują się kombatanci wraz z dyrekcją Domu Pomocy Społecznej w Bornem Sulimowie. Chwała żołnierzom – jeńcom polskim i francuskim”. W pobliżu tych miejsc znajdują się miejsca pochówku, odkryte przypadkowo w 1993 roku. W przybliżeniu spoczywa tu ok. 2 500 osób.

Pełni niecodziennych wrażeń i zadumy nad wszystkim, co zobaczyliśmy, z czym zetknęliśmy się twarzą w twarz, w milczeniu wsiedliśmy do samochodu i udaliśmy się w drogę powrotną do domu. Ujechaliśmy niedaleko i po lewej stronie drogi zauważyliśmy kolejny głaz z przymocowaną tablicą pamiątkową. Przystanęliśmy, zobaczyliśmy wyrytego w granicie orła i słowa: „4 lutego 1945 r. 18 P.P. 6 D.P. uczestnicząc w bitwie I Armii Wojska Polskiego o przełamanie Wału Pomorskiego zdobył Kłomino, wyzwalał ok. 300 oficerów polskich i jugosłowiańskich więzionych w obozie jenieckim”.

To był już naprawdę ostatni etap wielogodzinnej, szczerze wypełnionej sobotniej wycieczki historycznej, do nieodległego, a po tylu latach z bliska poznawanego miejsca, naszej małej, odzyskanej i przywróconej pamięci Ojczyzny, do której wreszcie każdy może pojechać i tak wiele nauczyć się o tym, co tam się działo za pancerną, żelazną kurtyną. Myślę, że historia Bornego Sulimowa zafascynuje niejednego, kto zechce się z nią zetknąć i zmierzyć, zmusi do zadumy nad tragicznymi dziejami tego niezwykłego miejsca.